

C.S. LEWIS

OPOWIEŚCI
Z
NARNII

LEW, CZAROWNICA
I STARA SZAFA

Ilustrowała Pauline Baynes

*

Przełożył Andrzej Polkowski



MEDIA RODZINA

Łucja zagląda do szafy

BYŁO RAZ CZWORO DZIECI: Piotr, Zuzanna, Edmund i Łucja. Opowiem wam o tym, co im się przydarzyło. Podczas wojny wysłano je z Londynu na wieś, aby były bezpieczne w okresie bombowych nalotów na miasto. Zamieszkały w domu pewnego starego Profesora, który żył w głębi kraju, na wsi, dziesięć mil od najbliższej stacji kolejowej i dwie mile od najbliższej poczty. Profesor nie miał żony i mieszkał w wielkim starym domu, ze swoją gospodynią, panią Macready, i jej trzema pomocnicami. (Jeżeli już chcecie wiedzieć, to nazywały się Ivy, Margaret i Betty, ale w tej historii nie odegrały większej roli). Profesor był bardzo stary i miał krzaczastą, białą brodę, która łączyła się z równie siwą czupryną, a rosła tak gęsto i obficie, że na twarzy pozostawało już niewiele wolnego miejsca. Dzieci szybko go polubiły, choć przy pierwszym spotkaniu w drzwiach starego domu wydał im się postacią tak bardzo dziwną, że Łucja (która była najmłodsza) trochę się go przestraszyła, a Edmund (który był następny w kolejności wieku) o mało nie wybuchnął śmiechem; uratowała go chusteczka, w której ukrył twarz, udając, że wyciera nos.

Pierwszego wieczora, kiedy dzieci powiedziały już Profesorowi dobranoc, pobiegły na górę do swoich sypialni. Tyle było jednak spraw do omówienia, że przed położeniem się do łóżek chłopcy przyszli do pokoju dziewczynek na krótką naradę.

– No, to się nam udało, nie ma co – powiedział Piotr. – Założę się, że tu będzie fantastycznie. Ten stary pozwoli na wszystko, co tylko nam przyjdzie do głowy.

– Uważam, że to strasznie miły staruszek – powiedziała Zuzanna.

– Och, dajcie spokój – przerwał im Edmund, który był już zmęczony, a pragnął sprawiać wrażenie niezmęczonego, co zawsze wprawiało go w zły humor. – Przestańcie tak gadać.

– To znaczy jak gadać? – spytała Zuzanna. – A w ogóle powinieneś już leżeć w łóżku.

– Próbujesz przemawiać jak mama – powiedział Edmund. – A kim ty właściwie jesteś, że mówisz mi, kiedy mam iść do łóżka? Sama sobie idź do łóżka.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli wszyscy pójdziemy już spać – wtrąciła się Łucja. – Jak usłyszą, że jeszcze rozmawiamy, będzie awantura.

– Nie będzie żadnej awantury – powiedział Piotr. – Mówię wam, że to taki dom, w którym nikt nie będzie sobie specjalnie zawracał głowy tym, co robimy. A zresztą i tak nas nie usłyszą. Z jadalni idzie się tu prawie dziesięć minut przez te wszystkie korytarze i schody.

– Co to za dziwny odgłos?! – spytała nagle Łucja. Nigdy jeszcze nie była w tak dużym domu i na samą myśl o tych wszystkich długich korytarzach, z rzędami drzwi wiodących do pustych pokojów, ciarki przebiegły jej po plecach.

– To tylko jakiś ptak, głuptasie – powiedział Edmund.

– To sowa – odparł Piotr. – Wygląda mi na to, że trafiliśmy do prawdziwego rajy dla ptaków. Jeśli chodzi o mnie, to idę do łóżka, a wam radzę zrobić to samo. Od jutra rozpoczynamy badanie okolicy. W takim miejscu można znaleźć rzeczy, o jakich wam się nie śniło. Widzieliście te góry w pobliżu? A te lasy? Tu mogą być orły. Mogą być jelenie. I jastrzębie.

– Borsuki! – dodała Łucja.

– Lisy! – dodał Edmund.

– Króliki! – dodała Zuzanna.

Ale następnego ranka obudziło ich monotonne bębnienie deszczu, tak gęstego, że przez okno nie było widać ani gór, ani lasów, ani nawet strumyka płynącego przez ogród.

– Oczywiście MUSI padać! – stwierdził Edmund. Właśnie skończyli śniadanie z Profesorem i byli już na górze, w pokoju, który im przydzielono. Był to długi, niski pokój z dwoma oknami wychodzącymi na dwie różne strony świata.

– Och, Edziu, proszę cię, przestań narzekać – powiedziała Zuzanna. – Stawiam dziesięć do jednego, że

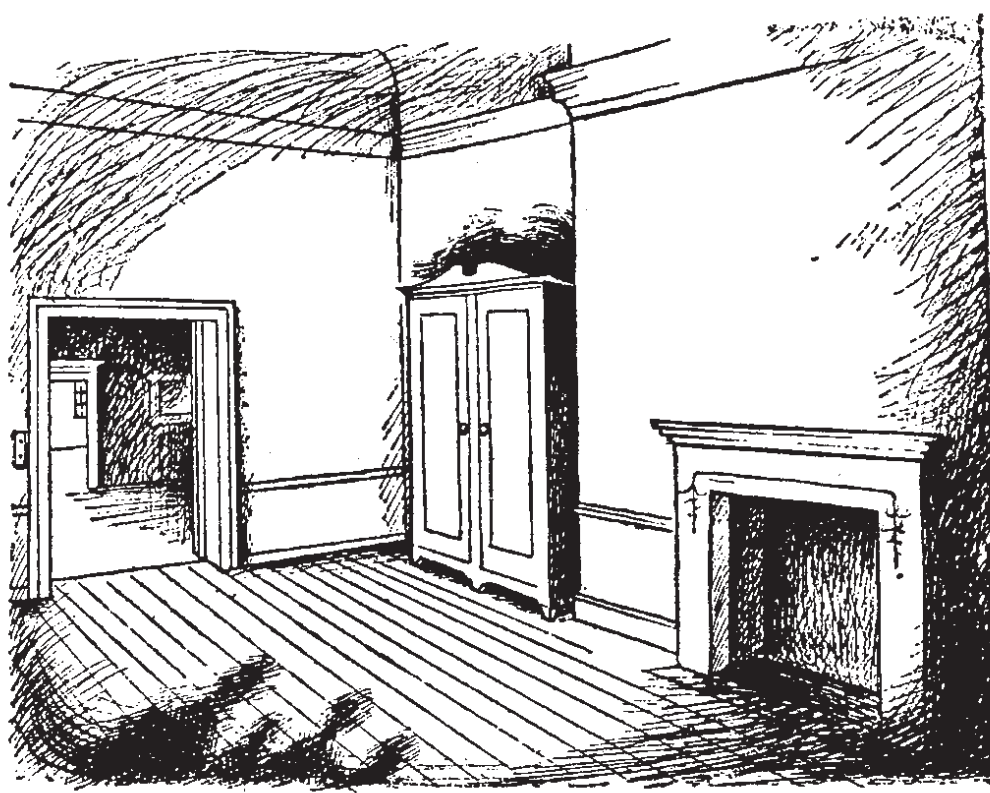
przejaśni się w ciągu godziny. Tymczasem nie jest tak źle. Mamy radio i mnóstwo książek.

– Jeżeli chodzi o mnie, to na razie nie skorzystam – wtrącił Piotr. – Zamierzam najpierw dokładnie zwiedzić ten dom.

Wszyscy chętnie na to przystali i tak zaczęły się ich przygody. Dom był pełen zakamarków i niespodzianek, wielki, z rodzaju tych wielkich domów, co to zdają się nigdy nie mieć końca. Jak można było się spodziewać, kilkoro pierwszych drzwi, które otworzyli, wiodło do pustych sypialni, wkrótce jednak doszli do bardzo długiego pokoju pełnego obrazów na ścianach; odkryli tu kompletną starą zbroję. Dalej był pokój obity zieloną tkaniną, ze stojącą w rogu harfą, następnie przejście prowadzące trzy stopnie w dół, a potem pięć stopni w górę, za nim niewielka komnata z drzwiami na balkon, a dalej cały szereg połączonych ze sobą pomieszczeń z półkami pełnymi książek, przeważnie bardzo starych, niektóre z nich były z pewnością większe od Biblii w kościele. Wkrótce potem dotarli do prawie pustego pokoju, w którym stała stara szafa z dużym lustrem w drzwiach. Nie było tu nic więcej, jeśli nie liczyć leżącej na parapecie martwej muchy.

– Tu nic nie ma! – stwierdził Piotr i wszyscy poszli dalej. Wszyscy – oprócz Łucji, która pomyślała sobie, że warto by na wszelki wypadek sprawdzić, czy drzwi szafy nie dadzą się otworzyć, choć była prawie pewna, że będą zamknięte. Ku jej zdumieniu otworzyły się z łatwością, a na podłogę wypadły dwie kulki naftaliny.

Kiedy zajrzała do środka, zobaczyła rząd wiszących płaszczy. Były to przeważnie futra, a trzeba wam wiedzieć, że dla Łucji nie było nic miłszego nad zapach i dotyk futer. Nie wahając się ani chwili, weszła do szafy i zanurzyła się w futrach, z rozkoszą wtulając w nie twarz. Oczywiście nie zapomniała o pozostawieniu otwartych drzwi, ponieważ wiedziała, że to bardzo głupio przypadkowo zamknąć się w szafie. Postąpiła krok czy dwa w głąb i stwierdziła, że wewnątrz jest



jeszcze drugi rząd płaszczy. Tutaj było już prawie zupełnie ciemno i Łucja wyciągnęła ręce przed siebie, by nie uderzyć głową w tylną ścianę szafy. Zrobiła jeszcze jeden krok naprzód, potem jeszcze dwa lub trzy, wciąż spodziewając się, że końcami palców dotknie drewnianej ściany. Ale nic takiego nie nastąpiło.

„To musi być naprawdę ogromna szafa”, pomyślała, posuwając się wciąż dalej i rozgarniając miękkie futra, aby zrobić sobie miejsce. Nagle zauważyła, że coś skrzypi pod jej nogami. „To chyba kulki naftaliny”, pomyślała i schyliła się, chcąc namacać je ręką. Ale zamiast twardego i gładkiego drewna podłogi wyczuła coś miękkiego, sypkiego i zimnego.

– To bardzo dziwne – powiedziała do siebie i zrobiła jeszcze krok lub dwa.

Teraz jej twarz i ręce przestały wyczuwać miękkość futer, a napotkały coś twardego i szorstkiego, a nawet kłującego.

– Ależ to zupełnie przypomina gałęzie drzew! – wykrzyknęła i nagle zauważyła jakieś światło. I to wcale nie kilkanaście centymetrów przed sobą, tam gdzie powinna być tylna ściana szafy, lecz w oddali. W chwilę później zdała sobie sprawę, że stoi pośrodku lasu, jest noc, pod nogami ma najprawdziwszy śnieg, którego płatki wirują w powietrzu.

Łucja trochę się przestraszyła, ale jednocześnie była ciekawa i podniecona. Spojrzała przez ramię za siebie. Między czarnymi pniami drzew wciąż widziała otwarte drzwi szafy, a nawet kawałek pustego pokoju. (Oczywiście zostawiła drzwi otwarte, ponieważ pamiętała, że to bardzo głupio zamknąć się w szafie.) Wyglądało na to, że w pokoju nadal jest dzienne światło. „Gdyby coś było nie w porządku, zawsze mogę wrócić” – uspokoiła się i zaczęła iść przez las, skrzyp-skrzyp po śniegu, ku dziwnemu światłu przed sobą.

Kiedy po blisko dziesięciu minutach doszła do światła, przekonała się, że to świeci latarnia na słupie. A gdy tak stała i patrzyła na nią, rozmyślając, skąd się wzięła latarnia w środku lasu i co robić dalej, usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Wkrótce potem bardzo dziwna postać z parasolem wynurzyła się spośród drzew i weszła w krąg światła rzucony przez latarnię.

Dziwna istota była tylko trochę wyższa od Łucji. Od pasa w górę przypominała człowieka, ale jej nogi były



nogami kozła (pokrytymi czarną, połyskującą w świetle latarni sierścią), a zamiast stóp miała najprawdziwsze kopytka. Miała też ogon, choć w pierwszej chwili

Łucja go nie zauważyła, ponieważ był elegancko przewieszony przez trzymającą rozłożony parasol rękę, zapewne po to, aby nie ciągnął się po śniegu. Szyję otulał czerwony, wełniany szalik, a jej skóra miała również lekko czerwoną barwę. Twarz wędrowca była dziwna, lecz miła. Miał krótką, ostro zakończoną bródkę i kręjące się włosy, z których wystawały dwa małe różki. W jednej ręce, jak już powiedziałem, trzymał otwarty, biały od śniegu parasol, w drugiej – kilka paczek owiniętych w brązowy papier, jakby wracał z zakupów przed Bożym Narodzeniem.

Był to faun. Kiedy zobaczył Łucję, tak gwałtownie podskoczył z wrażenia, że wszystkie paczki wypadły mu z rąk.

– Boże miłosierny! – wykrzyknął.

Co Łucja tam zobaczyła

DOBRY WIECZÓR – powiedziała Łucja.

Faun był tak zajęty zbieraniem swoich paczek, że w pierwszej chwili nie odpowiedział na jej powitanie. Dopiero kiedy skończył, lekko się skłonił i powiedział:

– Dobry wieczór, dobry wieczór. Najmocniej przepraszam, nie chciałbym być zbyt natrętny, ale czy nie myślę się, sądząc, że jesteś Córką Ewy?

– Mam na imię Łucja – odpowiedziała, nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Ale czy nie jesteś, proszę mi wybaczyć, czy nie jesteś kimś, kogo się nazywa „dziewczynką”? – zapytał faun.

– Oczywiście, że jestem dziewczynką – zgodziła się Łucja.

– Czy to znaczy, że jesteś człowiekiem?

– Oczywiście, że jestem człowiekiem – powiedziała Łucja coraz bardziej zdziwiona.

– Naturalnie, naturalnie. Cóż za głupiec ze mnie! Ale proszę zrozumieć, jeszcze nigdy nie widziałem Syna Adama lub Córkę Ewy. Bardzo się cieszę. Trzeba ci bowiem wiedzieć... – i tu urwał, jakby miał powiedzieć coś, czego nie zamierzał, ale w porę ugryzł się w język.

– Bardzo mi przyjemnie. Pozwól, że się przedstawię. Nazywam się Tumnus.

– Miło mi pana poznać, panie Tumnusię – powiedziała Łucja.

– A czy wolno mi zapytać, o Łucjo, Córko Ewy, w jaki sposób znalazłaś się w Narnii?

– W Narnii? A co to takiego? – zapytała Łucja.

– Przecież znajdujemy się w kraju, który nazywa się Narnią. Wszystko, co leży między Latarnią a wielkim zamkiem Ker-Paravelem nad wschodnim morzem – wszystko to należy do Narnii. A ty, ty zapewne przybywasz z Zachodniej Puszczy?

– Ja... ja przyszedłam tu ze starej szafy w garderobie – wyjąkała Łucja.

– Ach! – westchnął pan Tumnus melancholijnie. – Gdybym tylko trochę bardziej przykładał się do geografii, kiedy byłem małym faunem, to bez wątpienia wiedziałbym wszystko o tych dalekich i dziwnych krajach. Teraz już na to za późno.

– Ale to wcale nie są żadne kraje – powiedziała Łucja, rozbawiona. – To jest tam, zaraz za nami... a w każdym razie... no, nie jestem taka pewna. Tam jest lato.

– Jednakże – zauważył pan Tumnus – w Narnii jest zima, i to od tak dawna! Jeżeli będziemy tak stać i rozmawiać w tym śniegu, to możemy się przeziębnić. Czy Córka Ewy z dalekiego kraju Gar-Deroby, gdzie panuje wieczne lato wokół prześwieczonego miasta Staszafa, nie zechciałaby przyjąć zaproszenia na mały podwieczorek?

– Bardzo panu dziękuję, panie Tumnusie – powiedziała Łucja – ale zastanawiałam się właśnie, czy nie powinnam już wracać.

– To zaledwie parę kroków stąd – nalegał faun. – Będzie też ogień na kominku i grzanki, i sardynki, i ciasto...

– To bardzo uprzejme z pana strony – powiedziała Łucja. – Ale naprawdę nie będę mogła zostać zbyt długo.

– Gdybyś zechciała wziąć mnie pod rękę, Córko Ewy, to parasol osłoni nas oboje. Idziemy w tamtą stronę. A więc – w drogę!



I w ten sposób Łucja szła teraz przez las, trzymając pod rękę tę dziwną istotę, jakby znali się od urodzenia.

Nie uszli daleko, gdy teren stał się bardziej pofałdowany, naokoło pojawiły się skały i niezbyt wysokie wzgórza. Zeszli na dno płytkiego wąwozu i tutaj pan Tumnus skręcił nagle w bok, jakby miał zamiar wejść prosto na wyjątkowo dużą skałę, i dopiero w ostatniej chwili Łucja spostrzegła, że w skale jest wejście do pieczary. Kiedy znaleźli się w środku, oślepił ją blask ognia płonącego na kominku. Pan Tumnus schylił się, małymi, zgrabnymi szczypcami wyjął płonące drewno i zapalił lampę.

– Nie potrwa to długo – powiedział, stawiając imbryk na ogniu.

Łucja pomyślała sobie, że nigdy jeszcze nie widziała tak miłego domu. Była to niewielka, sucha i czysta pieczara, wykuta w czerwonej skale. Na podłodze leżał dywan, stały też dwa foteliki („Jeden dla mnie, drugi dla przyjaciela”, wyjaśnił pan Tumnus), stół i kredens, a nad gzymsem kominka wisiał portret fauna z siwą brodą. W rogu były drzwi, prowadzące zapewne do sypialni pana Tumnusa, a pod jedną ze ścian stała półka z książkami. Kiedy gospodarz przygotowywał podwieczorek, Łucja obejrzała sobie książki, wśród których natrafiła na takie dziwne tytuły, jak *Życie i pisma Sylena* albo *Nimfy i ich Życie*, albo *Ludzie, mnisi i leśnicy; studium znanej legendy*, albo *Czy człowiek jest mitem?*

– Wszystko gotowe, Córkó Ewy! – oznajmił faun.

Był to naprawdę wspaniały podwieczorek: najpierw wyborne jajka na miękko, potem sardynki na grzan-



kach, potem znowu grzanki z masłem, i jeszcze grzanki z miodem, a na koniec ciastko z lukrem. A kiedy Łucja już się najadła, faun zaczął opowiadać. Cóż to były za cudowne opowieści o życiu w puszczy! Opowiadał o zabawach w świetle księżyca, gdy nimfy – które mieszkają w źródłanych jeziorkach – i driady – które mieszkają w drzewach – wychodzą o północy na polanę, aby tańczyć z faunami; o gonitwach za mleczno-białym jelonkiem, który może spełnić każde życzenie,



gdy się go schwyta; o biesiadach z dzikimi Czerwonymi Karłami i o wyprawach po skarby ukryte w głębokich kopalniach i jaskiniach; a potem jeszcze o lecie, o tym, jak by to było dobrze, gdyby drzewa były znowu zielone i gdyby znowu odwiedził ich stary Sylen na swoim grubym ośle, a może i sam Bachus; w strumieniach popłynęłoby wino zamiast wody, a wszyscy mieszkańcy lasu oddaliby się beztroskiej, trwającej tygodniami zabawie...

– Gdyby tylko nie było tej wiecznej zimy – zakończył ponuro faun.

Potem, jakby chcąc dodać sobie otuchy, wydobył z leżącego na kredensie futerału dziwny, mały flet, wyglądający, jakby był zrobiony z trzciny, i zaczął na nim grać. Tęskny ton fletu sprawiał, że Łucji chciało się płakać i śmiać, tańczyć i spać jednocześnie. Musiały chyba minąć całe godziny, kiedy otrząsnęła się z zasłuchania i powiedziała:

– Och, drogi panie Tumnusię, tak mi żal, że muszę panu przerwać, bo tak strasznie podoba mi się ta muzyka, ale, naprawdę, muszę już wracać do domu. Miałam wpaść tylko na chwilę...



– Nie sędę, żeby było najrozsądniej iść TERAZ – odpowiedział faun, odkładając flet i potrząsając głową ze smutkiem.

– Nierozsądnie? – Łucja zerwała się z fotela, trochę przestraszona. – Co pan ma na myśli? Muszę zaraz wracać do domu. Będą się o mnie niepokoić.

Lecz za chwilę, widząc dziwną zmianę w twarzy gospodarza, zapytała:

– Och, drogi panie Tumnusię, co się stało?



Brazowe oczy fauna napęłniły się łzami, które zaczęły spływać mu po policzkach, zbierać się na czubku nosa i skapywać na ziemię, aż w końcu zakrył twarz rękami i gorzko zaszlochał.

– Panie Tumnusię! Panie Tumnusię! – zawołała Łucja przerażona. – Proszę przestać, błagam pana! Co się stało? Czy źle się pan czuje? Kochany panie Tumnusię, niech mi pan wreszcie powie, czy stało się coś złego?

Ale faun płakał dalej, jakby mu miało za chwilę pęknąć serce. Nie przestał szlochać nawet wówczas, gdy Łucja podeszła do niego, objęła go serdecznie i ofiarowała mu swoją chustkę do nosa. Płakał i płakał, teraz już w chusteczkę, wyzymając ją co jakiś czas, gdy stawała się tak mokra, że już więcej łez nie chciało w nią wsiąknąć.

– Panie Tumnusi! – krzyknęła wreszcie Łucja, potrząsając nim w rozpacz. – Proszę przestać! Proszę natychmiast przestać! Powinien się pan naprawdę wstydić, taki duży faun jak pan. No i dlaczego, na miłość boską, tak pan ryczy?!

– Och, och, och – załkał pan Tumnus. – Płaczę, bo jestem bardzo złym faunem...

– Wcale nie myślę, że jest pan złym faunem – powiedziała Łucja. – Myślę, że jest pan bardzo miłym faunem. Naprawdę, jest pan najmiłszym faunem, jakiego zdarzyło mi się spotkać.

– Och, och, nie mówiłabyś tak, gdybyś wiedziała o wszystkim – odpowiedział faun w krótkiej przerwie między dwoma gwałtownymi atakami szlochu. – Nie, nie jestem wcale dobry, jestem bardzo zły.

– Ale co takiego pan zrobił? – spytała Łucja.

– Spójrz tylko na mojego starego tatę – powiedział pan Tumnus – tam, nad kominkiem, na portrecie. Nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

– Czego by nie zrobił?

– Tego, co ja zrobiłem – odrzekł faun. – Jestem sługą Białej Czarownicy. Oto, czym jestem. Zaprzedalem się Białej Czarownicy.

- Białej Czarownicy? Któż to taki?
- Jak to, nie wiesz? To przecież ona panuje nad całą Narnią. To ona sprawia, że zawsze jest zima. Zawsze jest zima, choć nigdy nie ma Bożego Narodzenia – sama tylko pomyśl!
- Ależ to okropne! – powiedziała Łucja. – Ale co TY właściwie dla niej robisz?
- To właśnie jest najgorsze – odpowiedział pan Tumnus i jęknął głucho. – Porywam dla niej dzieci, oto cała prawda. Popatrz na mnie, Córko Ewy. Czy mogłabyś uwierzyć, że jestem takim faunem, co to spotyka w lesie biedne, niewinne dziecko, które nie zrobiło mu nic złego, udaje, że się z nim zaprzyjaźnia, zaprasza je do swojego domu – a wszystko po to, aby je uśpić, a potem oddać w ręce Białej Czarownicy?
- Nie – powiedziała Łucja. – Jestem pewna, że pan nie zrobiłby niczego w tym rodzaju.
- Ale ja to zrobiłem – załkał faun.
- No, cóż... – powiedziała Łucja powoli (ponieważ chciała być sprawiedliwa, ale i niezbyt surowa). – Cóż, to rzeczywiście brzydko z pana strony. Ale żałuje pan tak szczerze... Jestem pewna, że to się już nigdy nie powtórzy.
- O Córko Ewy, czy ty naprawdę niczego nie rozumiesz? – zapytał faun. – Nie mówię o czymś, co KIEDYŚ zrobiłem. Ja to robię TERAZ, w tej właśnie chwili...
- Co pan chce przez to powiedzieć?! – krzyknęła Łucja, a jej policzki zrobiły się nagle o wiele bielsze niż przedtem.

– To ty jesteś tym dzieckiem. Otrzymałem rozkaz od Białej Czarownicy, aby schwytać i oddać w jej ręce każdego Syna Adama i każdą Córkę Ewy, których kiedykolwiek spotkam w lesie. A ty jesteś pierwszą Córką Ewy, jaką spotkam. Robiłem wszystko, żebyś się ze mną zaprzyjaźniła, zaprosiłem cię na podwieczorek, ale przez cały czas, tak, przez cały czas myślałem tylko o tym, że kiedy cię uśpię, pójdę i powiem JEJ.

– Och, ale pan przecież tego nie zrobi?! – krzyknęła Łucja. – Nie zrobi pan tego, prawda? Przecież pan tego nie może zrobić!



– A jeśli tego nie zrobię – powiedział faun, wybuchając znowu płaczem – ona się o tym na pewno dowie. Każe mi odciąć ogon, odpiłować różki, wyrwać brodę, a potem machnie swoją różdżką nad moimi ślicznymi, rozszczepionymi kopytkami i zamieni je w okropne, bryłowate kopyta, jak u jakiejś nędznej szkapy. A jeże-

li będzie na mnie szczególnie zła, zamieni mnie w kamień i będę tylko posągami fauna, aż do czasu, gdy cztery trony na Ker-Paravelu znowu zostaną zajęte, a Bóg jeden wie, kiedy to się stanie i czy w ogóle do tego kiedykolwiek dojdzie.

– Bardzo mi przykro, panie Tumnusi – powiedziała stanowczo Łucja – ale proszę mi pozwolić iść już do domu.

– Pozwolę, rzecz jasna – odrzekł faun. – To oczywiście, że muszę tak postąpić. Teraz widzę to wyraźnie jak na dłoni. Nie miałem pojęcia, jacy są ludzie, zanim ciebie spotkałem. Teraz, kiedy już cię znam, wiem dobrze, że nie mogę cię oddać w ręce tej wiedźmy. Musisz jednak zaraz ruszać w drogę. Odprowadzę cię aż do Latarni. Myślę, że stamtąd trafisz już łatwo do Gar-Deroby i Staraszafy?

– Jestem pewna, że trafię – powiedziała Łucja.

– Musimy zachować najwyższą ostrożność. Cały las pełen jest jej szpiegów. Nawet niektóre drzewa są na jej służbie.

Tak więc pan Tumnus ponownie rozłożył parasol, podał Łucji ramię i pospiesznie wyszli z pieczary, nie dbając nawet o posprzątanie po podwieczorku. Tym razem droga nie przypominała już zupełnie miłego spaceru do pieczary fauna; przemykali się ukradkiem przez las, nie odzywając się do siebie, a pan Tumnus starał się wybierać najciemniejsze przejścia. Łucja odetchnęła z ulgą, kiedy dotarli wreszcie do Latarni.

– Czy stąd już pamiętasz drogę, Córko Ewy? – zapytał Tumnus.

Łucja wpatrzyła się w ciemność między drzewami i dostrzegła w oddali jasną plamkę, wyglądającą jak odbłask dziennego światła.

– Tak, widzę już drzwi szafy.

– A więc pędź do domu tak szybko, jak tylko potrafisz – powiedział faun. – I... czy b-będziesz mi mogła w ogóle przebaczyć to wszystko, o czym ci powiedziałem?

– Ależ naturalnie, wybaczam – powiedziała Łucja, ściskając mu serdecznie rękę. – I mam nadzieję, że nie wpadniesz przeze mnie w jakieś straszne tarapaty.

– Żegnaj, Córko Ewy – odpowiedział szybko faun.
– A może... może mógłbym zatrzymać chusteczkę?

– Chyba tak! – powiedziała Łucja i popędziła w stronę plamki dziennego światła między drzewami tak szybko, jak potrafiła. I nagle, zamiast szorstkich gałęzi drzew, poczuła na twarzy miękkość futrzanych płaszczy, a zamiast skrzypiącego śniegu pod nogami – twardość drewnianej podłogi, aż raptem zdała sobie sprawę z tego, że wyskakuje przez otwarte drzwi szafy wprost do tego samego pokoju, w którym rozpoczęła się ta dziwna przygoda. Starannie zamknęła szafę i rozejrzała się wokół, łapiąc oddech po szybkim biegu. Na dworze wciąż padało, a z korytarza dobiegły ją głosy rodzeństwa.

– Hej, jestem tutaj! – krzyknęła. – Jestem tutaj! Wróciłam! Nic mi się nie stało!